

W grobie etruskim



ELIZA ORZESZKOWA

W grobie etruskim

Tytus Kwincjusz Flaminus, trzymienny patrycjusz rzymski, opuścił swoją wspaniałą willę i szedł ku miejscu, na którym wznosić dla niego rozpoczynano pałac przewspaniały. Willa była obszerną, lecz jego wielkości pomieścić w sobie nie mogła i była pełną bogactw, lecz nie mieściły się w niej wszystkie jego bogactwa. Skinął tedy, rozkazał, złotem zadzwonił i już ziemia otwierała się dla przyjęcia fundamentów budowy, która miała być świątynią, chwale jego poświęconą.

Wcześniej Flaminus dosięgnął szczytu pomyślności ludzkiej. Dojrzałym był, lecz bynajmniej nie zestarzałym jeszcze, a z postawy rosłej i wykwintnej, z orlich rysów twarzy, z dumnego i surowego czoła wyczytać można było, że należał do rodu zdobywców. Głowę niósł wysoko, w oczach miał pogodę zadowolonego boga.

Za senatorską szatą jego, zdobną w złote palmy i purpurowe szlaki, sunął w nieśmiałym oddaleniu liczny, strojny orszak sług i klientów. Niedaleka przechadzka przybierać musiała pozór pochodu triumfalnego, gdyż on to był Tytus Kwincjusz Flaminus, który się przechadzał...

Sprawiły to wpływy cudnej pogody letniej, czy nowych zaszczytów z Rzymu wczoraj otrzymanych, czy rozpoczęcia się robót około wznoszenia pałacu upragnionego, lecz nigdy tyle, ile dnia tego, Flaminus nie czuł się dumnym i szczęśliwym. Od mózgu do palców stóp napęły go, przenikały, upajały uczucia dumy i szczęścia. Świetny orszak ze szmerem cichej rozmowy zdala za nim postępował, on zaś drogą, przedziwnie przez sztukę rzymski porfirowymi taflami wyłożoną, wśród mirtów i bukszpanów krocząc, z orlim profilem, wzniesionym tak wysoko, jakby dumnym czołem samego nieba dosięgnąć zamierzał — wspominał i myślał.

O możnych i sławnych przodkach swych wspominał i cieszył się, że możnymi i sławnymi byli, lecz więcej jeszcze tem, że sam ich w możności i sławie przewyższył. Uczuwał dwie naraz pychy, które mu dwa razy większą rozkosz sprawiały, niżby to jedna uczynić mogła. Przeżuwał ucztę, której smak nawskróś przejmował mu duszę.

Myślał o wielkich, o nieporównanych czynach, których dokonał. Sztuką wojenną, w której był mistrzem, zburzył jedno z państw ościennych, a drugie tak obietnicami, groźbami, intrygą genialną obmotał, że samo rzuciło się w objęcia Rzymu. Poczem, prokonsulem tu i prokonsulem tam przez wdzięczny Rzym mianowany, deptał po ludach podbitych, gdy podnosiły głowy, a gdy pochylały, sączył w nie jad trucizny rozmaitej, aby posnęły i pomarły. Legjony rzymskie, wojennym jego genjuszem kierowane, jak szkło kruche rozbijały wszystko, co, broniąc życia swego, opór mu stawiało, a kędy zaszła potrzeba oszczędzenia dzielności legjonów, tam je zastępowały przebiegłe słowa jego i chytre postęпки. On to sprawił i mała podobnych jemu liczba, że blask i wolność ludów ziemi już do przeszłości minionej, a terażniejszość i przyszłość potężna tylko do Rzymu należą. I sam już nie wie, na których z chwil minionych dłużej pamięć ma zatrzymać: na tych, które spędził nad polami bitew, zalanymi krwią i zasłanymi trupami przeciwników zwyciężonych, czy na tych, gdy przebiegłością jego zwiedzione, ludy mądre i wykwintne, — ba! od ojczyzny jego mędrsze, wykwintniejsze, — wieńce triumfalne pod stopy mu rzucały i z hymnem chwały na cześć jego wznoszonym — szły do mogiły.

Pamięć jego waha się także pomiędzy temi dziesiątkami tysięcy funtów złota, któremi, z wypraw wojennych wracając, wzbogacał skarb publiczny Rzymu, a tem mnóstwem metalu drogiego i drogiejszych nadeń arcydzieł sztuki, w które się sam wśród wypraw tych wzbogacił i które teraz od szczytu do dołu napęły jego pałac. Stana

w tym pałacu ściany *atrjów* i tryklinjów, rozbiegną się dokoła niego perystyle i ogrody, zabrzmią w nim ucztę i muzyki takie, że w sto trąb Fama rozegrzmi po świecie: Flaminus wielki! Flaminus potężny! Flaminus niezrównany, niedościgły, boski!

Wzrok upojony, którym dotąd bujał pod błękitami nieba, spuścił ku ziemi i szeroko po niej spojrzeniem zatoczył.

Niedaleko przed nim czerniała gromada ludzi, która ze stukami rydlów i młotów, z grzmiotem zwalanych kamieni, pod świątynię jego wielkości przygotowywała grunt i fundament. Dalej nieco ujrzał tych, którzy około winnic jego pracowali, albo, wspierając się na pasterskich kijach, z wiernymi psami przy bosych nogach, ku pastwiskom pędzili jego trzody. Dalej jeszcze, po szerokich jego niwach, jak biedne, zgarbione cienie posuwali się oracze, a najdalej, tam, skąd dochodził szum wód, roztrącanych przez wiosła, powietrzem płynęły, do ptaków wędrownych podobne, liczne żagle jego okrętów.

Flaminus patrzył, dziwił się, zapytywał siebie samego i bogów: „czyliż ci, którzy orzą i którzy ziemię kopią, wiosłami fale morskie roztrącają i, po kamienistych drogach bosem nogami krocząc, na pastwiska trzody pędzą, ludźmi są, skoro on jest człowiekiem”. Albo: czyliż on jest człowiekiem, skoro tamci są ludźmi?

Nie: taka nierówność postaci, rozumu, losu, nie może istnieć wśród istot jednego rodu! Bogowie żartowali sobie, jedno imię nadając takim jak on i takim jak oni... Wolno żartować bogom, ale i jemu z ich żartów śmiać się. Cha, cha, cha! Gdybyż choć jedno podobieństwo, choć jedna wspólność pomiędzy nim a nimi! Budowa i członki ciała? Cóż to znaczy? On do Febusa i Merkurego Loquensa, oni do wychudzonych cyklopów podobni. Konieczność umierania? On, choć umrze, nie umrze. Czyny jego mieć będą sławę wiekopomną, a imię, w pamięci uwielbiających je pokoleń, otrzyma trwanie nieśmiertelne. Nie — mniemać i wierzyć niepodobna mu inaczej, jak tylko, że na ziemi, zarówno jak w niebie, istnieje ród bogów i że on tego rodu jest synem.

Tak myślał, roił, cieszył się, samego siebie do rzędu bóstw podnosił Tytus Kwincjusz Flaminus, wielki, sławny, przebogaty, po wielekroć konsularny patrycjusz i dostojnik przepotężnego Rzymu.

Wtem, z ciemnej gromady ludzi, do której się zbliżał, wybiegł dozorca robót i, na spotkanie pana pośpieszywszy, jął z niskim ukłonem rzecz dość ciekawą opowiadać.

Opowiadał, że rydle kopaczy uderzyły niedawno o jakąś powierzchnię twardą, ale kruchą, która też skruszyła się pod ich ciosami i ukazała wejście do podziemia, wrotami z twardego metalu zamknięte. Czemu podziemie to być może? Nikt nie wie, bo nikt do wnętrza jego wstąpić nie śmie. Może ta czeluść, nagle pod stopami ludzkimi rozwarła, jest wejściem do przybytku Snu, albo Nocy? Może tam na śmiertelnych czyhają genjusze podziemne, aby ich zawlec do królestwa wiekuistego smutku?

Z drwiącym uśmiechem gminnych przypuszczeń tych wysłuchał Flaminus i, do orszaku swego obrócony, zawołał:

— Pochodni!

Potem dodał:

— Skrybi i greccy lektorowie moi — do mnie!

A gdy przywołani zbliżyli się, z oczyma błyszczącymi mówił:

— Płonę od ciekawości zbadania tej czeluści podziemnej. Może mi ona skarby czy piękności jeszcze nieznanne ukaże.

— Słusznie jest, najjaśniejszy, — jeden ze skrybów zauważył, — aby ziemia dla największego z synów swych tajemnic nie miała.

Uczony Grek zaś dodał:

— Jedni tylko Grecy dotąd niebu i ziemi tajemnice ich wydzierali. Słusznie, o Flaminie, ulubieńcem ojczyzny mojej zostałeś, boś mądry, ciekawy i śmiały.

Nieśmiałości Flaminus nie znał i od ciekawości płonęło mu oblicze, gdy pod uderzeniami młotów pękły drzwi cudnie z metalu wykute, a on z pochodnią w rękę przestąpił próg podziemia.

Jednak, zaledwie go przestąpił, zadrzał, zbladł, pochodnia wypadła mu z ręki.

— Co to? — Zawołał — Widzieliście? Co to było? Widziadło piekielne, szybko jak błyskawica zgasłe? czy zmysłów omam, przez rozgniewane genjusze rzucony? Widzieliście? Co to było? Mówcie!

Widzieli wszyscy, lecz nikt nic nie mówił, bo nikt nie wiedział, czym mogło być to, co jak błyskawica pole widzenia ich przerznęło i — znikło. Stali bladzi i drżący, z nogami, zrywającymi się do ucieczki, lecz nie śmiącymi uciekać, skoro nie uciekał Pan.

Blask kilku pochodni oświetlił był komnatę niedużą, kunsztownie sklepioną, wspartych ozdób pełną i w jej środku, na wysokim sarkofagu rozciągniętą postać męża, doskonale wypukłą i wyraźną, wspaniałą, w bogate szaty obleczoną, z profilem orlim, brodą długą i złotym ogromnym wieńcem na czarnych falach włosów. Przysiadzby można, że piękny i silny mąż ten, w pełni zdrowia na tem wysokim łożu wczoraj zaledwie do snu się położył i że jest jednym z tych, za którymi kornie i karnie płyną łańcuchy ludzi nieścignione.

Lecz zaledwie na tę uszpiętą, wielką postać upadł blask pochodni i ogarnął ją dech wstępującego tu razem z tym blaskiem powietrza, gdy nagle, w jednym mgnieniu błyskawicznym zniknęła i u szczytu sarkofagu leżała już tylko rozsypana garść szarego prochu. Tylko ogromny złoty wieńiec znaczył miejsce, na którym przed mgnieniem oka, w falach długich włosów leżała głowa z profilem dumnego zdobywcy.

Przez krótką tylko chwilę Flaminus mógł doświadczać trwogi i wahania. Wnet na lektorów i skrybów skinął, aby szli za nim i sam ku sarkofagowi postąpił.

— Dłaczego, — mówił, — mąż ten silny i piękny tak szybko z przed oczu nam zniknął, nie wiem, i wołę Bogów lub tajemnicze działanie natury w tem upatruję. Lecz to mgnienie oka, przez które go ujrzalem, wystarczyło, aby cześć moją dla niego obudzić i płonę żądzą dowiedzenia się, kim był, co uczynił i jak brzmiało imię jego.

Na ogromnym wieńcu złotym, w którym róże i laury wdzięczne mieszały się z postaciami genjuszów zwycięstwa i sławy, szukał wrytych zgłosek imienia. Był to wieńiec triumfalny, widział to dobrze, a na wieńcach takich musi znajdować się imię triumfatora. Znajduje się też wryte u stóp genjusza sławy, spostrzega je Flaminus, wzrok wytęża, wyczytać usiłuje, aż po chwili ku orszakowi swemu obrócony, z wahaniem mówi:

— Pismo-nieznane!

Kilka twarzy zamyślonych pochyła się nad napisem, kilka par oczu w nim się zatapia i po upływie długich minut usta ze zmieszaniem szepczą:

— Pismo i język — nieznane!

Z twarzą rozgorzałą Flaminus pilnie powierzchnię sarkofagu dokoła ogląda.

— Jest i tu napis! — woła. — Pochodnie przybliżyc! Światła! Światła!

Wysokie łoże śmiertelne staje w pożarze blasków, a palające oczy skrybów, lektorów i ich pana toną w wijących się pośród rzeźb napisach, aż z piersi wszystkich szept wychodzi ciężki, jak westchnienie.

— Pismo i język — nieznane!

Flaminus porwał się, burza uczuć rumieńce do czoła mu rzuciła.

— Imię męża tego! dziesięć tysięcy sestercji i łaska moja temu, kto imię to wyczyta!

Teraz blaski pochodni oblały ściany komnaty i ukazały na nich rzeczy przedziwne, wymowne.

Były to malowania, z których wyczytać można było jak żył, co posiadał, co miłował, czego używał ten, który teraz na szczycie sarkofagu garścią rozsypanego prochu leżał. Więc w miejscu jednym sztukmistrz przedstawił ptaki drogocenne i z wybornego smaku swego słynne, ryby z oddalonych rzek i mórz pochodzące, kosze owocami rzadkimi, dzbany płynami rubinowemi, wazy kwiatami cudnymi napelnione. Gdzieindziej grajkowie kołom gibkich tancerek przygrywali, bogate wozy ściagały się na arenach, w niecierpliwem oczekiwaniu stały świecące od ozdób rumaki, przeciągały pochody wojenne i triumfalne, kwitły sady, złościły się pola i winnice, wypływały okręty na szerokie morza. Lecz niedość na tem.

Oprócz malowideł znajdowało się w tym przybytku głuchej śmierci mnóstwo wszędzie napisów i mnóstwo przedmiotów zadziwiających, świetnych. U stóp ścian, w niszach, na piedestałach jakieś zbroje pradawne, z kształtami nikomu z żyjących nieznanymi, jakieś czary i misy kunsztem rzeźbiarskim do wysokości dzieł sztuki dźwignięte, sprzęty, na których szyldkret, złoto i kość słoniowa mieszały się z marmurem i różanem drzewem, klejnoty rzadkie, wieńce, nadewszystko wieńce, mnóstwo wieńców takich, jakimi ludzkość zachwycona i wdzięczna zdobi czoła swoich triumfatorów, wybrańców.

Wszystko to przedstawiało zapewne drobną tylko część bogactwa, potęgi, szczęśliwości tego, który teraz na szczycie sarkofagu rozsypaną garścią prochu leżał.

Flaminus patrzył, zdumiewał się, uwielbiał, aż przemówił.

— Bogatym i sławnym był. Jakiemi czynami zdobył bogactwo i sławę? Pragnę dzieje czynów jego poznać i jego imienia brzmieniem usta swoje rozradować. Pięćdziesiąt tysięcy sestercji temu, kto dzieje te i to imię w napisach tych wyczyta!

W wyczytywaniu wszystkich pism świata biegłymi byli skrybi rzymscy, a jakiejże wiedzy nie posiadali, z pośród najbardziej uczonych wybrani, lektorzy greccy? Jednak po długich minutach wszyscy z trwogą przed gniewem pana wyrzekli:

— Niepodobna... Pismo i język — nieznanne!

Najpoważniejszy zaś i najśmielszy z pośród Greków mówić zaczął.

— Ziemia, na której, o najdosłójniejszy! pałac swój wzniesić zamierzyłeś, była ziemią narodu Etrusków, którzy dopóty nad nią panowali, dopóki nie podobało się bogom stworzyć prawych panów świata — Rzymian. Domyślam się tedy, żeśmy wstąpili do jednego z grobów Etruskich, w których naród ten miał zwyczaj otaczać swych zmarłych wyobrażeniami tego, z czego chwałę, szczęśliwość i osnowę życia swojego czerpali. Czy jednak mąż ten, który na mgnienie oka objawił się przed nami w całej swej sile, piękności i chwale, do tego narodu należał? Trudno zapewnić, bo na tej ziemi, tak jak na wszelkiej innej, wiele z kolei narodów żyło, kwitnęło, przemijało i zniknęło. Po najdawniej znanych tu Pelazgach nastąpili Kazenowie z Kecji, których wyrugowali Samnici, z kolei przez Galłów zgnębieni, a potem w związek obronny złączeni z Etruskami, których z powierzchni ziemskiej starli Rzymianie; każdy zaś z ludów, którym wymienił, przemijając, język swój z sobą unosił w krainę minionej i zapomnianej przeszłości. Nietylko więc imię i czyny męża tu pogrzebanego są dla nas nieprzeniknioną tajemnicą osłoniętą, ale nawet oznajmić ci nie możemy z jakiego pochodził on rodu. Czy Pelazgiem był, Samnitą, Gallem, lub Etruskim, a może z innym jeszcze plemieniem, zwyciężonym a nam nieznanym, tu przybył, nikt ze śmiertelnych, ani ty, Flamininie, z pomiędzy nich najpotężniejszy, dowiedzieć się dziś nie może.

Rzekł słowa te Grek poważny; milczenie wewnątrz komnaty grobowej zaległo i wszystkim się zdało, że płyną po niej dźwięki żałosne, jakoby ciche żegnanie tych, co odchodzą na wieki.

Po chwili Grek jeszcze przemówił.

— Wszystko na ziemi o Clarissime! jest jako piasek toczący się z góry, którego jeden tuman, gdy przeleci, zastępuje go drugi, i tak lecą po przestworzach czasu tumany rzeczy ziemskich w nieskończoność, w ucieszenie wiekuiste, w zapomnienie, w grób tak ogromny, że niczem są wobec niego ogromy oceanów, a któremu to grobowi na imię: przeszłość. Na dno tego grobu, razem z imieniem swem, mową swą i rozgłosem swych czynów zapadł mąż, który w krótkiej chwili przebywania przed obliczem słońca — tobie samemu — Clarissime, w sile i chwale zapewne dorównywał. Tak jest. Takie prawo ustanowili bogowie dla potężnego dębu i dla lichej trawy, dla orła i dla robaka, dla królów świata i dla pasterzy trzód...

Umilkł Grek, a Flaminus z głową spuszczoną i wzrokiem wbitym w ziemię słuchał jeszcze. Słuchał ech, które, mowa Greka odbijała się po różnych stronach jego własnego wnętrza. Potem, jak człowiek, który szereg tajemnych myśli głośno kończy, rzekł:

— A imię jego: Nikt!

Skraj togi na twarz zarzucił i krokiem gwałtownym komnatę grobową opuścił. Nikt z obecnych iść za nim nie śmiał i wszyscy z podziwem patrzali, jak zwalnając, to przyspieszając kroku, szedł w złote pole, ku morzu, do takiego człowieka podobny, który sam nie wie, dokąd i po co idzie.

Szedł i co moment stawał, bo zdawało mu się, że ziemia w żywioł płynny przemieniona pod stopami jego i naokół fale toczy nieustanne, nieustanne, nieustannie jedne po drugich następujące, umykające, przepadające w oddaleniach nieścignionych. A gdy tak pod stopami jego i naokół działo się z ziemią, powietrzem, tumany piasku leciały, jeden za drugim, nieskończenie po sobie następując, przelatując, oddalając się, znikając w przestworzach, granic i końca nie mających...

W takiej fali on był kroplą, w takim tumanie on był ziarnkiem piasku...

A przed godziną mniemał... Tamten również w krótkiej porze przebywania przed obliczem słońca, mniemać zapewne musiał... W błędzie byli, on i tamten... Nie mógł Flaminus znieść myśli o tem, że w mniemaniu swem pobłądził, a przytem fale nieustannie pod stopami mu płynące, krokami jego chwiały i nad głową przelatujące tumany gryzącym pyłem zasypywały oczy, podniebienie, gardło.

Głowę ukrył całą w kraju senatorskiej szaty i od złotych palm, które ją usiewały, błyszczący, runął w cieniu winnicy, na ziemię.

— Bogowie! — wzdychał, otom jest dąb potężny, który zmalął do wzrostu lichej trawy, orzeł, który zwinął się w kształt robaka, król świata, zrównan z pasterzem trzód swoich... Kędyż na ziemi wielkość?

Prawdę powiedział prostak, z którego słów drwił Flaminus. W etruskim grobie mieszały podziemne genjusze i wstępującym do niego śmiertelnikom ukazywały dwie nagie postacie, z których jedna mówiła: przeminiesz! a druga: największym z ludzi będąc, małyś jest i wielkim siebie mniemając — szalonyś!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-grobie-etruskim/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Ostatnie nowe, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0658-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).